

– Przy twoich zarobkach i w twoim fachu kawałek dobrego uczynku może się przydać jak buty w zimie, gdy staniesz przed Sądem Ostatecznym...

– Niespieszo mi!

– Niespieszno, to pewne, ale nieznanne są wyroki boskie. U naszego Pana w godzinie odmiana i zważ to, że nie znamy ani dnia, ani godziny, gdy przyjdzie powołanie do nieba. A mówią, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, zatem starości nie dożyje! – Zrobił w powietrzu wielki znak krzyża, tak żeby objął sylwetkę Strojenia.

Strojeń zacisnął pięść i już się nią zamierzył, ale – co nie uszło uwadze Dziada – wzburzenie z wolna go opuszczało.

– Bo jest w Piśmie, że kiedy uciekasz, to nie patrz za siebie, a kiedy idziesz do ataku, to patrz tylko na horyzont – zmyślał Dziad – nie odmawiaj pomocy potrzebującym i sam nie bój się o pomoc prosić.

– Folgujcie! – warknął Strojeń.

– Nie bądź zbyt hardy, aby pochylić głowę przed Opatrznością, i nazbyt głupi, by nie wierzyć w Jej istnienie.

– Powiedziałem basta! Czego chceta?

– Pomóżcie mnie donieść tego gagatka do Bławatnych. – Przyklęknął przy nieprzytomnym. Ziemia była mokra. Sięgnął do torby, wydobyl z niej jakieś mazidło o wstrętnym zapachu.

– Cyj on? – Strojeń kucnął obok, przyjrzał się twarzy żołnierza. – Tak mnie się co widzi, że on hrabiego jaki krewniak, bo strasznie podobny z gęby.

– Dezerter. – Dziad ostrożnie odwinął brudną szmatę z miejsca, w którym zwykle każdy człowiek posiadał kciuk. Rana była brzydka, napuchnięta. – Zakażenie – powiedział do siebie.

– Trza by go rozdziać z tych łańców. Grzyśnik – Strojeń szturchnął najchudsze z Baryłów – idź haw do chałupy leśnika, może jakie szmaty ostawił, i przynieś, co znajdziesz. Ale migiem!

Grzyśnik kiwnął i zniknął między drzewami. Urodził się ostatni, choć w jednym z braćmi był wieku. Prawdziwego swojego imienia nie pamiętał. Od razu tak go przezwano – Grzyśnik, bo go ciągnęło do kobiet. Jedynie starszki zostawiał w spokoju. Innej żadnej nie przepuścił. Żeby chociaż ją objąć, trzepnąć po pośladku albo cmoknąć w policzek, nigdy tego nie zaniedbywał i nie powstrzymywały go nawet groźby rozsierdzonych gospodarzy ani mężów tych kobiet. Obili go nieraz, aż w końcu machnęli na niego. Musi jest jakiś niespełna, uznali w końcu, skoro nie rozumie, co się do niego gada. Trzeba by prac na śmierć, a z takiego przestępstwa trudno by się było wykaraskać. Nikogo nie słuchał poza braćmi i księdzem Ambrożym. Lecz uciekał przed nim jak diabeł przed święconą wodą. Uciekał, unikał, ale i tak zawsze się na niego natknął. Poczciwy człowiek był z tego księdza, dlatego coś go hamowało wewnątrz, w samym środku trzewi, hamowało przed brzydkim słowem w stosunku do duchownego, który nazywał go „dobrym chłopcem”, co sprawiało, że Grzyśnika ścisnęło w gardle. Urodzili się w któreś jesienne popołudnie i nie dość, że przyprawili swoją matkę o potężne, bóle to jeszcze swoim pojawieniem się przerazili całą wieś. Bo kto to widział, żeby aż trzech i to równocześnie?

Przez chwilę, ale był to momencik jedynie, wierzono, że przyszli na świat na chwałę Boską. Porównywano ich do trzech cnót: Wiary, Nadziei i Miłości, ale bardzo szybko tego zaniechano. Wieśniacy zgodnie uznali, że bliżej im do plag egipskich. Rośli więc i zbijali bąki. Do roboty mieli dwie lewe ręce, do swawoli obie prawe. Kiedy zostali sierotami, poczuli się wolni, bo matczyne spojrzenie przestało ich ścigać. Wtedy też najęli się u Strojenia.

– Cekoj! Grzyśnik, powiadom ci, cekoj!

– Cicho! – syknął Grzyśnik, odwracając się.

– Alem się złatał – wydyszał Kostaś. – Pchnął mnie Strojęń za tobą, żebyś gdzie na baby nie skręcił.

Grzyśnik przewrócił oczami. Co też oni wymyślają. Środek lasu. Grzybów nijak nie zdybiesz, a co dopiero babę. Jakby grzyby się znalazły, to i kobity by się pojawiły. A tak cisza, spokój. Strzelanina ustała całkowicie.

Ostrożnie zbliżyli się do leśniczówki. Obserwowali. Niby opuszczona. Ani żywego ducha. Ale coś w tej martwocie nie grało. Coś było nie tak. Spojrzeli sobie w oczy. Obydwaj wyczuli to samo, a tam, gdzie jeden się mylić może, to dwóch już na pewno rację ma!

Chałupa Dziewiątka, 16 października

Kiedy niedługo potem Strojęń z resztą chłopów przybyli na miejsce pod leśniczówkę, zastali związanych braci. Leżeli na wznak, bezradnie patrząc na zdumionych Dziada, Strojenia i Jacentego. Potem podrapany na twarzy Kostaś tak sytuację tę wyjaśnił:

– Szli my ciągiem, jeden za drugim. Wiadomo! Ostrożnie. Przed nami wielgi gąszcz, za nami, jesce więkсы – tynże gąszcz. Przecieli my linię lasu w popsek, tak że na polankę my se wyszli, ale potem nazad w las. Brnęli my dalej w gęstym poszyciu i śród zeschniętych paproci. Zatrzymali my się w starodrzewiu. Pnie tam byli na czterech chłopa szerokie. Olbrzymie. Wielgie modrzewie zwarte siwymi konarami, a pode nimi mrok straszny, ziąb niemożliwy, jakoby wionięcie nieboscyka. Grzyśnik sparł się na pniaku. Do krzty było inacy nis zwykle. Juści cosik się czało. Baczmy. Chałupa se stoi, jak raz. Pusto wokół ni, jak raz. Cicho, ależ cicho. Za cicho. Baczmy dalej. Aż łoddech brać strach, ale łoddychomy. I naraz: jak drzwi nie hukną, jak nie rozewrą się na oścież, aż my do ziemi przywarli. Jakeś dziwy, miarkuję sobie. A tu kobita jak raz z nich wyskakuje, ale taka insza niżli nase. Łachy na niej całkiem insze, włosy złote, długie. Kopie drzwi. Znacy ściekła. Tupie nogą. Dyjabeł, mówie. „Rusałka”, Grzyśnik goda. Nijak dociec prawdy. Ale jus widzę, że jego podnosi, że jus ciągnie lichu, bo kobitę uźrał¹ i jus panowania nad sobą nie ma. To je lichu! godam mu w gębę, ale gdzie tam! Co jego łobchodzi moje godanie. Kiela ja mu się naprawił o jego głupocie. Tyla z tego, co psu na budę. Nie pusce, godam, nie pusce na zatracenie i się rzemieniem do niego przywiązuję, ale kiej! On tego nie uwidział nawet. Taka siła w niem się rozwarła, że nie bacząc na nic ani na mnie, ruszył. Okrakiem przelazł przez ostręgę, a mnie pociongnon za przywiązaną łapę. I tak mnie pociongnon, zem pyskiem w ziemię przyładował, a potem jesce przez te kolczaste chabrzęzie przeczołgać się dał. A na koniec to babskie lichu,

¹ Zobaczyć.

kiedy zobaczyło Grzyśnika co ciongnon za łapę innego człowieka i się zbliżał do niej z rozpostartymi ramionami, wrzasło potężnie, takżem mało nie ogłuchł, i dało dyla w knieje! I na to wszystko żeśta nadeszli.

Ciężkie Strojeniowe, nieruchome spojrzenie spoczęło na Kostasiu. Tak ciężkie było, że aż mu dech zaparło. Skurczył się niczym pies tulący się do ziemi.

– Rozwiązuja się, droga długa – powiedział Strojzeń, bo cóż innego mógł rzec.

Znaleźli w chałupie Dziewiątka stare łachy. Przebrali nieprzytomnego w płótniankę długą, ale potarganą, dziurawą. Portki podobne, jednak przynajmniej mundur ściągnęli z niego.

– Trza utopić, żeby zarazy nie znalazły, a już nie daj Bóg przy którym z nas – zdecydował Strojzeń.

– Zostawmy tutaj – odezwał się Dziad – nikomu nie zaszkodzi, a my zyskamy na czasie.

– Utopić musowo albo zakopać!

– Strojńciu drogi, nie zwracaj głowy. Nikt tego nie rozpozna. Nie skojarzą z tym, o! – wskazał na nieprzytomnego – a nam czas najwyższy iść dalej. Potem pobłędzimy.

– Każden pobłędzić może, ale nie my – mruknął Strojzeń zirytowany. Rządził mu ten starzec jak nikt, i jak nikt dawał sobie do tego prawo. – A wiesz, kto ja jest? – powiedział do Dziada.

– Dobrze wiem, kim tyś był i kim tyś jest, ale to nie ma nic do sprawunków, jakie musimy poczynić. Dalej, dalej, chłopcy, jeden za ręce, drugi za nogi i na zachód marsz!

Grzyśnik i Kostaś popatrzyli po sobie, popatrzyli na Strojzenia, który im kiwnął, i posłuchali. Co było robić? W innej sprawie z chałupy wyszli, z inną wracają – jakie czasy, takie wyprawy i przynoszone z nich skarby.

Było jakieś tajemnicze przymierze między Dziadem a Strojeniem, o którym niewiele wiedzieli, tylko plotki krążyły, a z plotek to samo zmartwienie. Ale zauważyć należało, że Strojzeń miękki był przy Dziadzie jak przy nikim innym. To było ciekawe, ale żaden nie śmiał o to pytać. Coś podsłuchali, coś ktoś im szepnął, ale wcześniej przeinaczył i plotka rosła niczym tłusta pchła na psiej skórze.

Strojeniowi każdy we wsi schodził z drogi, ale nie tylko w tej jednej wsi. Gdzie poszedł, wszędzie go znali albo chociaż o nim słyszeli. Nie było takiego, który by mu dokuczył albo odważył się go wyśmiać. Szacunek sobie zdobył pośród tubylców jeszcze za czasów rabsickich². Choć sam o tym nie opowiadał, to inni gadali aż nadto i legendy o jego celnym oku i dobrze zaprawionej fuzji tworzyli aż nazbyt liczne. Tym bardziej że lud tutejszy miłował swoich rabsiców, choć przewrotnie, bo chętnie opowiadał o ich gusłach i czarach, o tym, że do hostii świętej strzelali i pacierz do diabła każdego poranka mówili.

Bywa, że im bardziej się czegoś lękaasz, im dłużej, to z biegiem czasu zaczynasz to miłować i cenić. Rabsice swoim nie robili krzywdy, jeśli im nikt z wieśniaków nie szkodził,

² Rabsictwo – kłusownictwo.

mógł spać spokojnie. Honor i fuzja były u nich na pierwszym miejscu. Składali hersztowi przysięgę, której zdradzić pod groźbą śmierci nikomu się nie ważyli. Banda za swojego nadstawiała karku, ale i zdrady przebaczyć nie była zdolna. Do siebie zapraszała tylko najzdolniejszych, najlepszych strzelców. Kraj tutaj leśny, zarośnięty ostrągą, wilgotny, pachnący grzybami, ale i wymagający, niebezpieczny dla piecucha, niosący zgubę każdemu, kto miał miękkie, wypielęgnowane dłonie i zajęcze serce.

– A opowiedzielibyście – zagadał do Strojonia Kostaś, kiedy zatrzymali się na odpoczynek – ile zwierza żeście ubili na rabsictwie? Gadają, że strasnie śmiały z was chłop był.

Strojeń uśmiechnął się pod wąsem. Miło mu się zrobiło. Tym bardziej że jego próżność w tamtych czasach drzwi do nieba Panu Bogu blokowała i Piotrowi Świętemu. W żadnym razie wyjrzeć na świat nie mogli, bo przez to Strojoniowe zadufanie drzwi otworzyć się nie chciały. Tak o nim gadali w owym czasie starzy ludzie, którzy obserwowali poczynania młokosa, bo Strojeń wtedy był młodzikiem, któremu wąs dopiero zaczął się sypać pod nosem. Głowę nosił wysoko, kroczył dziarsko, dobrze jadł i sporo pił, a złotych monet w kieszeniach nosił bez liku. Nie było lepszego strzelca od niego w całej puszczy ani żadnej innej rabskiej bandzie.

– W lesie my gospodarowali, jak chcieli – zaczął Strojeń. – Starodrzew rósł milami. Nikt go w świat nie wywoził, to i schronienie było jak się patrzy. Najbardziej my lubili porę przedeźniwną. Na polach stały żyta. Łatwo było się przekraść i strzelić do byle cego. Takiego gawrona ustrzelić, to był szpas. Szczęście na polowaniu pewne. Na mnie zwierzyna szła okrutnie. Jak my polowali z obławą, to nieraz nie mogem wydolić, tak mi się zajęce i sary³ pchały pod strzał. Bywało, że z dobra woli puszczałem siaraki, bo to profit z tego był nieduży. Ino saren upatrywałem i kładem za jednym strzałem. Mało która farbowała. Tylko przekopyrta się i tyła. Przez dwie pierwsze niedziele, gdym do bandy przystałem, ani razu do chałupy nie zajrzałem. U kamratów rabsiców spałem. I tak jednym ciągiem. Sam herśt gadał, com mu się śtraśnie udał. Klepał mnie z przyjacielstwem po ramieniu, a płynęła od niego dobrość kiejby ojcową. Takie honory na mnie szły, że mi się niemi upijał jak wódką. Śrybła wtedy miałem po pas. Położyłem zwierza huk! – Uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Nie sam Kiwa Bobik od nich odbierał te leśne bogactwa, przyjeżdżali inni Żydzi i to całymi furmankami. Najchętniej kupowali skóry, ale też i mięso. Handlowali całe noce, a rabsice mieli kryjówki porobione co krok. Noce spędzali w środku puszczy przy ognisku, a ranki na polowaniu. Zawsze rozstawiali strażę, które obcego do ich obozu nie przepuściły. Czujni i niebezpieczni, sprytni i poruszający się bezszelestnie niejednego leśnego przechytrzyli. Niejednego położyli trupem.

– Mówio, żeście się za baby przebierali dla niepoznaki – zarechotał Jacenty.

Strojeń spoważniał. Warga mu drgnęła.

– Jeno ten, co chcioł. Jo nie. – Podniósł się raptownie. Spojrzał na Dziada. – Czas ruszać, bo za kawolek będzie na odwieczarz.

Błążej pochylił się nad nieprzytomnym. Ten ciągle rzucał głową na boki, jakby walczył z nieznośnymi muchami, które się zalęgły w jego czaszce. Stękał przy tym i coś mamrotał.

³ Sarny – gwara lasowiacka.

– A leśni? – Kostaś nie mógł się powstrzymać – Kiej nie bruździli?

– Co mieli nie bruździć, ale nam oni nieśtraśni byli. Co tylko po północy herśt obstarwić kazał wszystkie bliskie leśnictwa. Strażnik takowy na drzewo się wdrapywał, a jakie ćwierć mili ode onych leśnictw, i co jakiś czas w powietrze palił dla niepoznaki. Leśnicy hukami zwodzeni, zamiast iść na swój rewir, kręcili się w miejscu, skąd strzał padał, a rešta polowała.

– Śwary herśt! – zawołał Grzyśnik, zacierając dłonie.

Szli energicznie, pewnie. W lesie czuli się jak sarny i żbiki. Każdy krzak znali, choć dla obcych oczu każde drzewo wydawało się takie samo. Prowadził Strojzeń. Poza celnym okiem miał też doskonały słuch, jak pies. Wśród sosen i świerków przyjemnie bieleły się brzozy. Dęby sprawiały, że robiło się ponuro. Brzozy jakby roześmiane panny, dęby niczym surowi starcy o twardych dłoniach. Las głęboki i ciemny, mieszany, każdego dnia tracił coraz więcej liści. Pochmurny dzień szybko gasł, tracąc światło. Przechodzili wąwozami, wspinali się na niewielkie wzniesienia, by po chwili schodzić pochyłościami. Szyszki chrzęściły pod ich krokami, warstwy wilgotnych igieł kleiły się do podeszew. Im głębiej wchodzili, tym ciaśniej się robiło, tym ochotniej zagarniały ich konary. Ale sprytny przewodnik takimi ich wiódł szlakami, żeby było najwygodniej, najsprawniej, najszybciej.

– Dy się ośmielę – Grześnik spojrział na Strojzenia – i zapytom. Kaj wy z Dziadem poznajomiliśwa, bo ta waszo solidarność na przyjacielstwo prawdziwe, mnie się widzi, wygląda?

Strojzeń zarumienił się po same uszy. Ukradkiem, przez prawe ramię zerknął na Dziada. Starzec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ano – sapnął Dziad.

– Nieciekawo to sprawa – przerwał mu Strojzeń.

– Aaaale śtraśnie ciekawo – zawołała chórem Baryły.

Dziad roześmiał się w głos. Strojzeń zmarszczył czoło.

Dziada Strojzeń poznał... Tfu! Jakiego poznał? Takiego człowieka całkiem poznać się nie da. Inaczej... Spostrzegł go na jednym z jarmarków. Musiał to być ten na Świętego Józefa, bo wiosna już pachniała, choć błoto wlewało się za cholewy. Ile razy go widział od tamtej pory, tyle razy oblewał się rumieńcem. Chodził w ten czas na rapsik⁴ i dobrze mu się żyło. Ależ dobrze! Młodzikiem był i fantazję miał prawdziwie junacką. O wojnie jeszcze nikt nie mówił. Szedł w czystej, odświętnej płótniance. Nie wiedział, że Dziad miał na niego oko już od dłuższego czasu. Tak jak jego kamraci rabsice oko mieli, nim go do spółki zawołałi. Tego dnia chciał swojej Lesi – swojej, ale nie swojej. W oczach ludzi i Boga należała do innego, ale tego dnia pragnął jej kupić piękny prezent. Rzecz wspaniałą, która by jej była miła i przydatna.

Dziad siedział pod kościołem Wszystkich Świętych i coś mówił. Najpierw Strojzeń nie rozumiał słów, tylko słyszał głos. Mocny, doniosły, jakby do młodego należał. Dlatego

⁴ Kłusownictwo.

podszedł bliżej, nawet całkiem blisko. Z ciekawości. Rozśmieszyło go to zasluchanie ludzi, ta nabożna wręcz cześć, podziw dla opowieści, którą snuł starzec. Rozśmieszyło go to, bo czemu oni go podziwiali? Z jakiej przyczyny rozdziawiali gęby? Dlatego że znał kilka historyjek? Cóż tutaj jest do podziwiania?!

– Kaj tyś widział tych Mniemców? – przerwał mu wtedy wesoło. Błysnął białymi zębami w uśmiechu, splunął.

– Wróg nastał na tę ziemię – Dziad spojrział na niego zimno – przypędził z łopoczącymi proporcami – ciągnął, patrząc młodemu prosto w oczy. – Jedni chwycili za drągi i broń, a inni czmychnęli do chat. Ci, co za broń porwali, obili wrogów potężnie, a ci, co do chat uciekli, czcili tych pierwszych. Gdy ci, co walczyli, powrócili z wyprawy, ci drudzy karmili ich i im usługiwali. Wtedy ci pierwsi spostrzegli, że lepiej wojować, niż rolę uprawiać. Lepiej z dzidami na wrogów iść, niż ręce urabiać po łokcie. I poszli, a potem zaczęli żądać... uznając siebie za lepszych, zaczęli żądać jedzenia i spania. Tak lud podzielił się, a w następnym czasie coraz bardziej się dzielił. I dzieli do dziś.

– Tyla tego pacierza? – mruknął Strojeń, chcąc odejść.

– W zadufanie obrosłeś, młodziku głupi! – huknął Dziad, powstając z kamienia. – Zdaje się tobie, żeś za sprawą jakichś czarów w królewicza się przemienił, co to ze złotej miski spożywa i to srebrną łyżką.

Strojeń rozdziawił gębę. Skąd stary wiedział, że mu tak lekko na sercu?

– Ale ja tobie mówię, żeś głupi, i póki nie zmądrzejesz, a nie zmądrzejesz, póki się słuchać nie nauczysz, to figę z życia poznasz. – Ruszył ku niemu, a tłum z szacunkiem przed nim się rozstąpił.

– Mnie ta figa starcy, haw więcy mi nie potrza – Strojeń wziął się pod boki i roziskrzonym wzrokiem na starca spoglądał. Już wiedział od kilku dni, że to ukochane kobiece serce w jej gołębiej piersi dla niego biło. Już mu powiedziała o swoim nieszczęściu bez niego. O tym jak okrutnie się z nimi los obszedł, że się nie poznali przed jej zamążpójściem.

– „I oni w grzechach na ziemi tu żyli. Po falach czasu przemknęli po cichu. Wrzały ich głowy chwilę i po chwili. Głucho i pusto, ni śladu, ni słyhu”⁵. – Dziad wyrecytował tekst, który znał z młodości.

Strojeń zbladł. Toż tylko chciał się podroczyć, a nie przekleństwo na siebie i na nią niebogę ściągnąć.

– Jeno poluję – mruknął i obrócił się na pięcie.

– Ty byś Boga okradł, gdyby cię do swej alkowy wpuścił, dla ciebie nie ma świętości. Ale pamiętaj! I na ciebie termin przyjdzie!

Krew wtedy w Strojaniu zagrała, ale się zmytygował. Ot, stary, pomyłony człowiek. Skąd by miał wiedzieć o jego uczuciu. Ale przez chwilę się przeląkł, że przy gawiedzi jego tajemnicę wyjawi. Nie ucieszył się jarmarkiem tym razem. Nie kupił Lesi prezentu, nie napił się też wódki, ale umknął w las, zadowolony, że stary nic więcej nie powiedział.

⁵ K. W. Wójcicki, *Stare gawędy i obrazy*.

– Nie ma o czym godać. – Strojeń ruchem głowy otrząsnął się ze wspomnienia. – Coś tak ciekawe? – Przystanął. Obejrzał się.

Dziad wlekł się za nimi. Był ledwo żywy. Strojeń się mu przyjrzał. Czy faktycznie potrafił prorokować? Potem popatrzył na Jacentego.

– Przeklon mnie w ten czas. – Głową wskazał starca.

– Nie przekląłem nikogo! – wydyszał stary, zrównując się z nimi. – Chciałem tylko w tobie opamiętanie wzbudzić, próżność okiełznać, swawolę przyhamować.

– Toś naprawiłeś, że onuce z nogów spadają. – Strojeń popatrzył na niego smutno, po czym dał rozkaz do marszu.

Dziad znowu wlekł się na końcu, co chwilę przystawał. Dyszał. Ocierał pot z czoła. Zdrowi, młodzi mężczyźni szli wartko, prężnie, nie oglądali się za siebie. On się oglądał, bo miał nadzieję, że natkną się na Józusia. Jednak mimo niepokoju uważnie przyglądał się Strojeniowi. Obserwował jego twarz i piwne oczy, zaciśnięte usta i gesty, jakie wykonywał rękami, to, jak reagował na zaczepki i żarty. Człowiek ten był dla niego zagadką, choć sporo o nim wiedział. Taką zagadką stają się ludzie, którzy dźwigają wewnątrz siebie brzemię. Niektórzy twierdzą, że są tajemniczy, a oni są jedynie nieszczęśliwi. Ile razy Dziad spotkał Strojenia, tyle razy jedną sytuację widział. Jedno zdarzenie. I teraz idąc z tyłu i przyglądając się mu, przypomniał sobie ciepłe, lipcowe popołudnie – całkiem miłe, ale miłe tylko do pewnego momentu.

Tamto popołudnie miało wpływ na życie Strojenia. To znaczy nie ono samo, a to, co się tamtego popołudnia wydarzyło. To, co sprawiło, że chłopak odszedł z bandy rabskiej, a jego herszt mu na to pozwolił. Było to nadzwyczajne, bo z bandy odejść inaczej jak przez własną śmierć, nie było możliwe, ale sytuacja była zaiste niezwykła.

– Uchodź, nieszczęsny! – krzyknął do niego Dziad tamtego popołudnia. A krzyknął ze strachem, bo faktycznie poczuł się winny temu, co się wtedy wydarzyło. Jakby faktycznie Strojenia przeklął.

Było to tak...

Wieś Gaje. Dziad wyszedł z lasu wprost na chałupę, w której rozgrywał się dramat. Młoda gospodyni – musiała pochodzić z okolic przygranicznych, bo językiem gadała innym niż tubylcy – wrzeszczała w niebogłose. Okno było otwarte, a w izbie jej mąż – dużo od niej starszy – okładał ją pięściami z całych sił. Gdy upadała, kopał ją i dźwigał za włosy do góry. Z porozrywanego, zakrwawionego dekoltu smutno wyglądały duże piersi, a z dziur w rękawach suche ramiona. Krztusiła się krwią, która płynęła z rozciętych warg i z nosa. Zgromadzeni na podwórku wieśniacy rajcowali między sobą jak przekupki na jarmarku.

– Mościewy, ma prawo – gadały kobiety.

– Do krzty ją uśmierci – mówił ktoś z boku, ale żaden nie szedł z pomocą.

– Takaś to kwarda?! – dał się gospodarz, bijąc żonę. – Wnetki zmięknie, jeno ci dobrze poprawię. – Młócił drobne ciało pięściami, chlastał ją po zakrwawionych policzkach, choć już miejsca na kolejne rany nie było. – Kto do ciebie chodzi?!

Dziad wyszedł z zagajnika w momencie, gdy Strojeń jednym zwinnym susem pokonał płot, odbezpieczył fuzję i biegł dalej.. Wzrok miał dziki. Ktoś na niego krzyknął. Inny chciał zatrzymać. Na próżno. Pędził przed siebie jak postrzelony jelen. Gdy dobiegł do chałupy, poraniona gospodyni go spostrzegła i krzyknęła, chcąc swoimi dłońmi zasłonić okno. Jednak gospodarz szarpnął ją za ramiona i grzmotnął nią o ziemię z taką mocą, że aż ta ziemia razem z niebem wspólnie jęknęły. Podnosząc głowę, jej mąż spotkał się z dwururką. W tamtej chwili nikt nie miał już siły, aby powstrzymać Strojonia. Nigdy nie chybiał i tym razem nie chybił. Strzał przeciął nie jedno życie, a życia trzy. Huknął i zmienił bieg zdarzeń. Jedną duszę posłał wprost do Piotrowych drzwi, dwie pozostawił na poniewierkę. Strojeń przesadził parapet i przypadł do kobiety. Nie ruszała się. Na to Dziad otworzył drzwi i wbiegł do izby. Szarpnął młokosa za ramię.

– Uchodź nieszczęsny, uciekaj! – krzyknął.

– Bez ni nie pude – powiedział – moje srebro, złoto najmilejsze – szeptał bez opamiętania, jakby w szoku. Unosił jej głowę, próbował cucić, a w jego gestach tyle było tkliwości i lęku, tyle delikatności i nieśmiałości, że serce w Dziadzie zamarło.

– To ją zabieraj i uchodź! – Dziad stracił cierpliwość. – Na południe, do Góry Czarnej – szepnął mu do ucha – znajdę tam was.

Z potężną siłą pociągnął Strojonia za ramiona i podniósł go z ziemi. Ten nieprzytomnym spojrzeniem potoczył po izbie, porwał dziewczynę na ręce i wybiegł z chałupy.

Tak to było.

Po pewnym czasie nadjechali żandarmi, ale niczego od wieśniaków nie mogli się dowiedzieć. Po prawdzie to rabsic gospodarował w co drugiej chałupie i oni już zadbali o to, żeby młodego do więzienia nie zamknięto. Chłopi tak gadali dziwacznie, tak nieskładnie, że nic pojąć się z tej ich paplaniny nie dało. Ot, był trup i nikogo więcej. Nikt świadkować nie chciał, bo nagle się okazało, że nikt niczego nie widział. Niczego nie słyszał.

Chałupa Dziewiątka, 16 października, wieczór

Filomena huknęła otwartą dłonią w biedne drzwi chałupy. Skurczyła się z bólu, ale po sekundzie poprawiła im stopą. Też zabołało. Rozwścieczona z wrzaskiem pobiegła w stronę lasu akurat wtedy, kiedy nadjechał hrabia. Zarośla ich zasłoniły.

– No, co? – Wzruszyła ramionami, ocierając brudną dłonią łzy. Nigdy jeszcze za swojego życia nie ucieszyła się na widok ojca tak bardzo, jak w tamtym momencie.

– Chodź! – Złapał ją wpół i pomimo oporu, krzyków, wierzgania i gryzienia przerzucił przez siodło, po czym spiął konia i pognali w stronę wsi. Tej wsi...

Jechali długo. Dziewczyna nie wiedziała, jak długo, ale już dobrze się ściemniło, gdy hrabia z powodu jej kolejnego jęku zatrzymał konia. Stało się to przy zarośniętej mchem kapliczce.

Kiedy Filomena stanęła na ziemi, rozmasowała łydki. Kręciło się jej w głowie. Hrabia popuścił koniowi popręg, a sam usiadł na zwalonym pniu. Dziewczyna spojrzała na niego z wyrzutem.

- Jeść mi się chce!
- Mam trochę wina. – Sięgnął do sakwy.
- Nie znoszę wina!
- A co znosisz? – Zrezygnował z wyciągnięcia butelki.
- Niczego nie znoszę!
- To ci nowina. – Zapalił papierosa.
- Matka czeka na ciebie w Krakowie – warknęła.
- Może tak, może nie. – Puścił do niej oko.
- Znowu się zezłościła.

Zachowywał się, jakby siedział nie na wilgotnym, omszałym pniu, a w sali balowej. Nie jak pośród ciemnego lasu i cuchnących zgnilizną szuwar, a na wieczorku poetyckim, podczas którego lokaj dbał, aby co chwilę podstawiać mu popielniczkę.

- Jak możesz! Jak możesz być taki?! – Z ociąganiem klapnęła obok niego.

Przestało mżyć, ale było zimno. Spomiędzy chmur wychodził księżyc.

- Zapamiętaj tę kapliczkę – Wskazał za siebie.

- Bo co?

– To kapliczka Świętej Rozalii – wydmuchał dym – patronki, do której modli się lud podczas zarazy.

Aż podskoczyła.

- Jakiej zarazy?

- Każdej.

- Czemu wy wszyscy mówicie o jakiejś zarazie?

Jedliczyński spojrzał na nią poważnie.

- Każdego dnia ludzie na coś umierają – powiedział.

- Ale o tym nie mówią! – Wydęła usta.

Hrabia roztarł papierosa na pniu obok swojego uda i zapalił kolejnego.

– Tam, dokąd jedziemy, byłoby dobrze, abyś nie rzucała się ludziom w oczy. To znaczy, abyś powściągnęła choć trochę swój charakterek i wielkopańskość.

Popatrzyła mu w twarz. Był bardzo przystojnym mężczyzną. Jego czarne oczy przypominały szklące się wiśnie, a ogorzałe policzki nie sprawiały wrażenia człowieka zaniedbanego. Przeciwnie, dodawały mu uroku. Zaś jego lekceważenie dla otoczenia bardzo pociągało kobiety, bo łudziły się, że będą tymi jedynymi, których nie zlekceważy. Głupie! To, że miał cały świat w nosie, nie wynikało z jego kaprysu, a z decyzji.

- Bo co?

- Bo cię wypędzą albo podpalą ci chałupę.

- Cha... co? – Zerwała się na równe nogi.

- Chałupę – powtórzył, patrząc na nią z rozbawieniem.

- Chcę do Paryża! – pisnęła i usiadła z powrotem.

– W Paryżu wojna, uchodźcy, co tylko odparty atak Niemców. Do Paryża! – prychnął. – Myślała, myślała i wymyśliła – zażartował. – Skoncentruj się teraz na tym, co ci powiem, bo od tego może zależeć twoje życie i matki. Jest wojna i ja nie mogę swobodnie jeździć, kiedy tylko sobie pozwolisz na swawolę. Któregoś razu może się tak zdarzyć, że nie zdołam ci pomóc, dlatego zważ na moje słowa.

– Ale co?! Nie zostaniesz z nami w tej głuszy?!

– Nie mogę. Mam interesy, a wy, jeśli nie będziecie przykre, możecie tutaj przetrwać wojnę.

– Caaałą? Wojnę? Ona może trwać latami!

– Może, ale jeśli tutaj pozostaniecie, to ją przetrwacie.

– Chyba że przyjdzie zaraza. – Skapitulowała, ale oczy jej nadal błyszczały od gniewu.

– Nie przyjdzie.

– Znaczą się znalazł, zostawiasz nas na poniewierkę, a sam...

– Cicho! Nie czas na wymówki. Posłuchaj, bo to ważne. Za chwilę musimy ruszać.

– Ja chcę do Paryża, do Paryża – zaśpiewała cicho, ale po chwili zrobiła to głośniej – do Paryża chcę! Do Paryża, do Paryża, do Francji!

Dostała w twarz.

– Słuchaj! – warknął hrabia poblady na twarzy – każde marzenie jest w pewnym sensie ciekawe. Marz sobie, ile chcesz, ale nie złość ludzi. Pomieszkuje tam Dziad, człowiek, którego znałem nim stał się Dziadem. Błażej Rzewski się nazywał.

– Phi! Co drugi dziad pod kościołem to pewnie znamienita osobowość, ale potargana i bosa. – Rozcieraała policzek.

– O Rzewskim wspominał mi jeszcze mój ojciec, a twój dziadek. Dziad może być twoim sprzymierzeńcem. Jeśli go do siebie nie zrazisz, będziesz miała w nim wsparcie.

Filomena ziewnęła.

– Rodzina Rzewskiego zginęła z rąk chłopów. Wszyscy: żona, dzieci, jego ojciec. Wszyscy cierpieli męki, nim umarli. Dwór spalono, konie zabrano, krowy wygnano ze stajni.

Ciarki przebiegły hrabiance po plecach.

– Po, co mi o tym mówisz? – Poczula się zdradzona. Niby ją wysyła w bezpieczne miejsce, a tymczasem jest to gniazdo szerszeni.

– Rzewski to władczy człowiek, dusza w nim niezdrowa. Słucha się go wielu i możliwych, i wsiowych. Władzę ma, tylko czekać, kiedy z niej skorzysta. To mściciel. – Uniósł dłoń, bo chciała mu przerwać. – Ale on już dawno w zaświatach. Jego przyszłość nie interesuje. Tylko zemsta go jeszcze trzyma przy życiu. Wie, że piekło go czeka, bo nigdy nie wybaczy, jak i ja. I mnie piekło czeka. – Zapalił i znowu dłonią powstrzymał córkę. – Wymordował już większość z tej grandy, która zwała się na jego dwór. Chodził nocami, z cieniami się bratał, z samotnymi gośćmi, z nocną zmorą. Przymilny, spokojny i ostrożny, a gdy nikt się nie spodziewał, wbijał diabłu nóż pod żebra. Zawsze diabłu, tak mówił. Szybko, sprawnie, prawie bez cierpienia. Ale nigdy w domu czy na obejściu, zawsze z dala, tak żeby ciało mogło zniknąć.

– Po co mi o tym mówisz?! – zawołała. Zatkąła dłońmi uszy.

– Żebyś wiedziała, że sfera, w której się urodziłaś, nie jest ani wielką, ani bezpieczną. Sfera, którą tak czειςz i z którejś taka dumna, w każdej chwili przynieść ci może zgubę. A ten Paryż, któregoś tak umiowała, że aż dostajesz czkawki na samo wspomnienie, spłynął krwią arystokratów i miast cię podniecać, powinien w tobie budzić lęk.

– Przecież nic złego im nie zrobiłam. – Zaplotła ramiona na piersiach. – Chcesz mnie przestraszyć? – Była bliska łez, ale walczyła z nimi.

– Niewinność nie jest gwarantem przeżycia. Myślisz, że pośród dwustu ofiar zakopanych we wspólnym dole na cmentarzu w Tarnowie są sami okrutni i źli panowie? Że pogrzebani bez modlitwy w ogrodach pod jabłonkami to sami słudzy Lucyfera? A ci zakatowani cepami i kosami, porżnięci na kawałki, zdeptani końmi, przebici widłami i zrzucani z balkonów to diabły w ludzkim ciele? Nie. Nosisz głowę wysoko, złościsz się, że bywasz lekceważona, tymczasem ciągle żyjesz. A tamci, niejednokrotnie wiele wartościowsi od ciebie, dokonali żywota zarżnięci jak świnie, bo zlekceważyli potęgę zła tkwiącego w drugim człowieku. Dlatego ostrzegam cię, nikogo nie drażnij. Cicho! – Błyskawicznie ściągnął córkę z pnia, na którym siedzieli, i runęli w błoto. Przycisnął jej głowę do swojego ramienia i ostrożnie się wychylił.

Tak jak przypuszczał. Między drzewami mignęli jeźdźcy na karych koniach. Mimo że poruszali się prawie bezszelestnie, to nie mogli pozbyć się końskiej woni, a wiatr wiał akurat w stronę hrabiego. Dlatego nie tyle ich usłyszał, co wyczuł zapach zwierząt. Za to zwierzęta nie wyczuły jego. Skóra mu ścierpła na karku. Filomena niemal usłyszała bicie jego serca, lecz nie wiedziała, przed kim się chowają. Ale Jedliczyński dobrze znał tych ludzi...

Był to lud tajemniczy, brodzący w ciągłej mgle i zbierający zapłaty za przysługi. Zapłaty oryginalne, trudne do wypłacenia. Jedliczyńskiemu co prawda zagadki nie zadali, ale zażądali od niego czegoś gorszego. Przysiągł im lojalność. Miał nadzieję, że nie będzie się musiał z przysięgi wywiązać, bo lud ten zajmował się głównie karczowaniem drzew, niektórzy byli złotnikami, ale bardzo rzadko schodzi w te tereny puszczy. Woleli wyżyny od dolin. Skoro tutaj się pojawili, to coś się zmieniło w ekosystemie lasu. Na pewno była to wina wojny, ale musiało być coś jeszcze. Obawiał się, że oni uczyli się terenu, bo zmieniali taktykę życia. Do tej pory niewadzący nikomu, mogli przeistoczyć się w wojowników, bo takie mieli marzenie.

Muszę zniknąć – postanowił w myślach hrabia. Zniknąć przynajmniej na cztery lata.

Podniósł się, pomógł wstać Filomenie.

– Wytłumaczysz mi to? – Próbowwała otrzepać się z błota i zgniłych liści.

– Nie ma czasu.

Podciągnął popręg, wskoczył na siodło, podał jej rękę, po czym wciągnął ją za siebie. Objęła go w pól. Ugodził konia ostrogą i ruszyli galopem, ale takim galopem, jakby ich goniło stado wilków.

– Co się stało?! – krzyknęła.

– Milcz!

Wierzchowiec wyczuł napięcie swojego pana i gnał przed siebie, jakby od tej szybkości zależało i jego życie. Kopyta rozrywały błoto, skręcał ostro, ale sprawnie, ani razu się nie potknął. Odskoczył tylko raz, jakby go ktoś ogniem przypalił w pęciny. Jednak hrabia nikogo nie dostrzegł, a konia ostrogą ponaglił. Rozcinali noc, pędzili po grzęzawisku, którego nie sposób było nazwać drogą, ale koń wprawny na równi z jeźdźcem doskonale dawał sobie radę. Zwierzę było oczami hrabiego, a hrabia jego kierunkiem. Hrabianka zastygła ciszą na plecach, czyli balastem, ale parli przed siebie bez wahania! Fule przestały dokuczać, zwały się w jeden ciąg.

Gdy dopadli Bławatnego, było ciemno, tylko w karczmie się świeciło. Filomena drżała z zimna, miała ochotę się rozpłakać, ale powstrzymała łzy. Wierzchowiec wydychał

kłęby pary z rozdętych nozdrzy, parskął. Jeszcze w nim grał bieg, jeszcze ścięgnię miał naprężone. Zgrzany i spieniony oddychał zachłannie. Hrabia szybko rozpiął popręg i zrzucił siodło na ziemię, grzbiet zwierzęcia na zimnie począł parować. Rozejrzał się i wtedy spostrzegł Józusia. Co za licho – pomyślał – wszędzie się za mną kręci.

– Ty! – zawołał. – Tak, ty, chodź tutaj!

Chłopiec niechętnie podszedł i szybko spuścił oczy.

– Oprowadź go z dziesięć minut, a potem rozczyść⁶. – Wręczył mu wodze, po czym wziął Filomenę pod ramię i skierowali się do karczmy.

Drzwi skrzypnęły. Kiedy stanęli w progu, kilku chłopów obejrzało się na nich ciekawie. Bahan błyskawicznie przetarł blat baru i wybiegł na izbę, aby posprzątać stół najbliżej kominka. Tlił się w nim lichy ogień. Hrabia usadził Filomenę blisko niego, a sam zrobił ruch głową do Bahana, aby poszedł za nim. Stanęli przy barze.

– Dwa grzane piwa – powiedział Jedliczyński głośno. – Kto jest we wsi? – zapytał ciszej i zapalił papierosa.

– Nikogo s nasych – odrzekł Bahan, krzątając się przy trunkach – same tutejse.

– Kiwy nie było? – Zaciągnął się mocno.

– Nie widziałem.

– A Strojń?

Bahan pokręcił głową i przerzucił badyłek z lewego do prawego kąca ust.

– Komisarz? – dopytywał hrabia.

– Wojna, pewnikiem go zaciągali na front.

Piękna czarnowłosa dziewczyna postawiła piwa na blacie. Bahan wzrokiem wskazał jej zaplecze. Przesunął napoje w stronę hrabiego.

– Raczej nie – odpowiedział Jedliczyński w zamyśleniu. – Co u hrabiny?

– Karzeł dogadza jej, jak może, a Karolcia każdego dzioneka po piwo psylatuje – uśmiechnął się zadowolony.

– A Dziad? – Upił łyk piwa.

– Nie widziałem, a on ku mnie nie zachodzi.

– Smarkacz jest, to pewnie i stary gdzieś się kręci. – Znowu upił. – A Baryły?

– Tutej ich ni ma. Musieli w kszokach się ukryć przede wojną, bo one choć wielgie, to strachlywe.

Hrabia pokiwał głową. Zostawił monetę i ruszył do Filomeny.

– Rozgrzałaś się? – Podał jej kufel.

– Nie lubię piwa! – sarknęła.

– Wypij, zrobi ci się cieplej. – Usiadł obok niej. Też był ubłocony. Miał sine z zimna palce u dłoni i czerwony nos. Zapatrzył się w płomień.

– Matka została w Krakowie – szepnęła hrabianka.

– Nie, jest tutaj, za chwilę ją zobaczysz. – Roztarł peta o kominek.

– Jak to? Przywiozłaś ją tutaj wcześniej niż mnie?! – podniosła głos, mimo że nadal szczękała z zimna zębami.

⁶ Przetarcie konia słomą.

– Sama wybrałaś swoją drogę. – Wyglądał na znużonego. Wyciągnął przed siebie długie nogi i przymknął oczy.

Kominek rzucał mało blasku, więcej cieni się kręciło wokół niż jasnych smug. Rozmowy szemrały.

W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, senny nastrój prysł, bo do środka wbiegł karzeł. W podskokach podleciał do hrabiego. Ściągnął czapkę.

– Witam wielmożnego pana – powiedział z entuzjazmem – i szanowną panienkę także!

Filomena wydeła usta i z pogardą obrzuciła jego krępą sylwetkę. Hrabia spojrzał na niego nieprzytomnymi oczami.

– Wszystko w należyтым porządeczku, jaśnie panie. – Ukłonił się. Jego maleńkie oczka płonęły z radości tak wielkiej, jakby sam Anioł Stróż mu się objawił. – Zobaczyłem pańskiego konia, panie hrabio, i od razu przybiegłem. – Klasnął w dłonie zadowolony.

– Dopilnuj, żeby go smarkacz odpowiednio zaopatrzył – odezwał się Jedliczyński i ziewnął. – Później do stajni, bo na rano musi być gotowy do drogi. Skoro świt wyruszam.

Droga do Bławatnego, 16 października, wieczór

Dziad wlekł się teraz za Strojeniem i resztą, a przyglądając się mu, musiał przyznać, że mężczyzna bardzo się zmienił z wyglądu. Pociemniały na twarzy z ostro zarysowaną zuchwą nie przypominał już tego chłopca, za którym wszystkie dziewczęta się ogłądały. Nadal był postawny, muskularny, wysoki, ale w swoich oczach nie miał już nic figlarnego. Już nie gwizdał ani nie śpiewał, przekrzykując się z ptakami. Wódki nie pił. Choć podobno pił, ale sam. Nigdy w karczmie. Zgasło w nim coś, co go czyniło młodym człowiekiem. Nikt nie odważył się zapytać, co mu się przytrafiło. Jeszcze bardziej zhardział, jeszcze mniej mówił, za to oczy jego stały się dzikie niczym spojrzenie ptaka. Straszne terminy na niego przyszły. Znał je, zdaje się, ksiądz Ambroży, ale jak to ksiądz, nic o nich rzec nie mógł. Znał je i Dziad, ale ten mówić nie chciał. Takie było przymierze między nimi. Przymierze nieme, choć przez innych wyczuwane.

– Nic złego na jarmarku ci nie rzekłem. Sam żeś doprowadził do tego, co się wydarzyło – powiedział Dziad do pleców Strojenia.

Ten się nie odwrócił, tylko machnął ręką.

Gdy zapadł zmierzch, przystanęli. Strojeń odciął gałąź dębiny i zaczął ją ostrzyć.

– Co! – zdenerwował się Dziad.

– Spocznicie se ojce, a my popilnujem – powiedział prawie radośnie, nie przestając ostrzyć końca gałęzi.

– Musimy tutaj odpoczywać? – Dziad wyczuł podstęp.

– Dobrze wam robi. – Strojeń wyszczerzył zęby w uśmiechu. Mrugnął do niego.

– Na coś czekamy? – Dziad nie mógł sobie znaleźć miejsca. Tu przysiadł, tam przysiadł. Najpierw było za mokro, potem go coś ugryzło.

– Ano – sapnął Strojeń, kończąc ostrzenie badyla – Kiwa Bobik bedo jechać.

– A może ludzie z mgły?

Głowa Strojeniowi podskoczyła. Spojrzał na starca uważnie.

– Nie wim, o kim godocie. – Udał obojętność – Kiwa znak ostawił.

Nie wie! Dobre sobie. Dziad zaplątał ramiona na piersiach.

Nie do końca było wiadomo, czy spotkanie „ludzi z mgły” należało do błogosławieństwa czy do przekleństwa. Różnie gadali. Różnie, dużo, ale mało konkretnie. To tak jak z muchomorami. Jeśli przejdiesz między nimi, nic ci nie zrobią, ale kiedy się nimi posilisz, to już inna sprawa. A Strojzeń dobrze znał tamten lud, znał na pewno, tylko nie chciał mówić. Niby to byli ludzie, a nie ludzie. Straszne oblicza posiadać mieli i robić wszystko na opak. Zupełnie inaczej niż nasi. Czego wieśniacy się bali, tego tamci nie. Czego robić nie chcieli, tamci jak najbardziej. Mieli swoje prawa i swoje sądy, swoje drogi i swój los. Niektórzy, ci lękliwsi, twierdzili, że zostali wyczarowani przez diabła, że ludźmi nie są, a widmami udającymi żyjące istoty. Józus zaś, gdyby potrafił mówić jak należy, tak żeby inni go rozumieli, powiedziałby, że ten lud jest odbiciem chłopów z Bławatnych, tyle że odbiciem w krzywym zwierciadle. Takie zwierciadła widział na jednym z jarmarków, kiedy przyjechali cyrkowcy. Ileż dziwów w takich lustrach dostrzec można było, ileż kpiny i smutku.

– Aby ja nie błazen! – wzruszył ramionami Strojzeń – daję na siebie pozior. Babskie łachy ja nie zakładał, tak i gęby obcy zakładał nie zamiaruje ani maski nijakiej. Dobrze, aby kobita w trumnie rozpoznać umiała, coby pacierz miał kto odmówić. Na mnie czary nie działają i ja czarów się bojał nie bede. – Jednak gdy to powiedział, poczuł, że ciarki przebiegły mu po grzbiecie.

– Nigdy nie wiesz, czy w złą godzinę swoich słów nie wyrzekłeś. – Dziad już się nie śmiał.

– Dobre słowo złej godziny się nie boi – odparował Strojzeń.

– Ano, że się nie boi, ale człowiek złej godziny bać się powinien. Taki, co to nikogo i niczego się nie lęka, zwykle w największe wpada tarapaty.

– Folguj ojce ze swem krakaniem – powiedział powoli – ja strachem niepodszyty i krakanie takie mnie koło dupy loto. – Oczy mu błysnęły. – Samemu diabłu dostoję. – Przynsunął swoją ogorzałą twarz do okrągłutkiej Dziadowej.

Baryły z przejęcia przestali oddychać.

– Z dala najlepi, kiej się pośród młodych zbóż siedzi, co okwitać poczynają, w ten czas najlepi czarne wróżby roztaczać. Kiej wygodnie dupie na zydelku. Zaśby ja na zydelku nie siedzę i tyła jużem widzioł, że nic mnie nie nastraszy – dodał Strojzeń i wyprostował się.

Dziad potarł czoło.

– Tylko na los nie ma rady – odezwał się smutno.

– Na wsjo jest! – zdenerwował się Strojzeń – a ty niczem się nie różnis w swojej mowie od tej pierwej, którąś zaklął mój los. Strzymaj się, starce, bo miast czynić pokój, utrapieństwo z piekła wywołujes.

– Coś ty! Strojęnciu drogi – Dziad przeżegnał się szybko – ja tobie jak najlepiej życzę.

Baryły zbiły się w trzysobową grupkę, bo rozmowa ich przestraszyła. Choć zwykle byli beztroscy i trzpiotliwi, tym razem poczuli zimno, nienaturalne zimno, które niczym cień potężnej chmury przesunęło się ponad ich głowami. Przesunęło się i prysło.

– Ruszajmy – Dziad poderwał się z pniaka i rozejrzał się nerwowo.

– Nygdze nie yde, nygdze – wybełkotał dezert, przewracając oczami.

I wtedy zdarzyła się rzecz dziwna. Spomiędzy krzaków od zachodu nadjechał Kiwa z Józusiem, ale równocześnie od wschodu wyszedł Kozaryk i jakby tego było mało to od północy wynurzyło się kilku dziwacznych jeźdźców na pięknych, karych wierzchowcach. Na to Kiwa, gdy spostrzegł zbiegowisko, niezwykle zręcznie zawrócił swojego bułanka i dał drapaką, choć Józus zdążył z biedki wyskoczyć. Dziad rozpromienił się na jego widok, padł sobie w ramiona, zaś Kozaryk zrobił zajęczą stójkę, ale po sekundzie ożył i z szybkością charta ruszył w czarny bór, bo Strojeń rzucił się w jego stronę z dzidą – co prawda prowizoryczną, ale ostrą. Pozostali oniemieli. Gapili się przez chwilę na siebie wzajemnie, aż w końcu Dziad postanowił się odezwać, ale wszedł mu w słowo dezterter.

– Nygdze nie yde, nygdze. – Żołnierz przerwał jeszcze niewypowiedzianą myśl Dziada. Usiadł, zagapił się na jeźdźców, uśmiechnął się dziwnie, tak jakby mu się twarz rozjeżdżała w kilku kierunkach. – Sztefann? – Zrobił ruch, jakby chciał się podnieść. – Wydziałem twój wysztemp – opadł na mech – wszyszko wydziałem, wszyszko. – Znowu się poderwał. – Lynel, tak gadaly, taak o tobie... – wybełkotał i stracił przytomność.

– Bredzi, ma gorączkę – powiedział speszony Dziad.

Baryły, jak to oni w sytuacjach dla nich nieoczekiwanych, zaniemówili. Przynęli się bliżej starca, a na deztertera patrzyli jak na człowieka o trzech rękach. Z głębi lasu dobiegły krzyki i wołanie: „ratunku!”.

– Otrzymaliśmy wezwanie o pomoc – rzekł grubym głosem dowódca. Poważnie spojrzął na Dziada.

– Nie wzywaliśmy pomocy – odparł Dziad i postanowił natrzeć uszu Strojeniowi, jak tylko go spotka. Nie, jak tylko go dopadnie. – Tam wołanie słyhać. – Głową wskazał kierunek, a gdy nikt nie zareagował, odezwał się po raz kolejny: – Kim jesteś?

– Jesteśmy drwalami – spojrzął po skulonych Baryłach.

Dziwne, nagle jakby schudli i zmniejszyli swoją objętość.

– Pomocy potrzebujecie – stwierdził, spoglądając na deztertera.

Skinął na towarzyszy, ci we dwóch zeskoczyli z koni, jeden z nich zarzucił deztertera na przedni łęk swojego siodła, drugi z nadzwyczajną łatwością wsadził na swojego wierzchowca Dziada i choć sam musiał usiąść poza siodłem, to dzięki dobremu koniowi nikomu nie stała się krzywda.

– Wy – zwrócił się do Baryłów – sami traficie!

– Zaśby nie mieli trafić! – Gorliwie kiwnęli głowami.

– Ty – wskazał na Józusia – też sam trafisz.

– Ale panie... drwalu, jego może by też z nami – poprosił Dziad.

– Nie. – Spojrzął na Józusia. Spojrzął tak twardo i zimno, że aż Dziadowi serce stanęło.

Powiedzieć, że gnali, to jak nic nie powiedzieć. Była w tych jeźdźcach moc dzika, nieznana. Zwierzęta zaś całkiem tej mocy się podporządkowały. Nie rozmawiali, mimo to doskonale wiedzieli, w którą stronę skręcić, choć już noc zapadła; noc ciemna bez gwiazd i księżyca. Konie ich ciche ani prychnęły, nie rżały, stąpały tak jakby nie dotykały kopytami ziemi. Żadnego dźwięku, tylko wiatr na twarzy i pęd nieustający. Zwalniali tylko wtedy, kiedy

przejeżdżali nad skarpą, gdy blisko rzeki nad urwiskiem ich szlak prowadził. Jednak robili to pewnie, spokojnie i tak sprawnie, że Dziad już nie wiedział, czy to lud dziwny im z pomocą przybył, czy diabły go do piekła porwały. Byli jak jeden. Jedno ramię, jeden krok, jedna myśl. Nad podziw zgrani i podporządkowani temu, który jechał na czele.

Wygodnie Dziadowi nie było, bo już zdążył zapomnieć, jak to jest dosiadać konia. Jednak pędzili tak szybko, że już nie czuł końskich fuli, nic go z rytmu nie wybijało, tylko się modlił, aby żadna przeszkoda im na drodze z nagłą nie powstała, bo wtedy jak nic z siodła by wyleciał, zwłaszcza gdyby koń zahamował raptownie albo uskoczył w bok. Najchętniej zamknąłby oczy i otworzył je już na miejscu. Łoskot rzeki to się do nich zbliżał, to od nich oddalał, czasem całkiem milkł, dlatego starzec nie wiedział, ile im jeszcze drogi zostało. Nieraz gałąź smagnęła go po twarzy, nieraz i po oczach przejechały igły świerka. Powietrze pachniało zgniłą wilgocią i przymrozkiem, który jeszcze się czaił gdzieś w chmurach. Jeszcze nie spadł na ziemię, ale był już niedaleko, już z wolna schodził ku pożółkłym łąkom i uschniętym szuwarom. Koniki były zwinne i energiczne, błyskawicznie skręcały i żaden się nie potykał. Czujne niczym żbiki, doskonale widzące w ciemnościach.

Gdy dotarli na miejsce, Dziad nie miał pojęcia, która była godzina. Gwiazdy Polarnej nie było widać. Ciemność, ciemność, ciemność. Tylko w izbie księdza migało światło, jakby go ktoś uprzedził. Błażej usłyszał stukanie do drzwi, szybko je otworzył. Jeźdźcy bez słowa wnieśli rannego, a starzec z wysiłkiem wygramolił się z siodła. Nikt mu nie pomógł, czym poczuł się zawiedziony. Tylko koń łypnął na niego swoimi wielkimi oczami i wówczas pomyślał, że dobrze, iż konie nie mówią, bo jeszcze by się nasłuchiwał od niego krytyki. Jednak nim wszedł do izby, zamknięto przed nim drzwi, a dowódca (jak należało mniemać) odezwał się swoim grubym głosem.

– Lubimy pomagać, ale nigdy za darmo.

No masz, zirytował się Dziad. Nie za darmo! Toście sobie mospany dobrego znaleźli dłużnika, który grosza przy duszy nie posiada. Dobrze sobie. Psiekrwie!

– Zadam ci zagadkę, a ty ją rozwiążesz – powiedział dowódca.

– Co? – wydukał stary, a w gardle mu zaschło.

– Twoja odpowiedź jest naszą zapłatą. – Westchnął głośno. – Tylko zważ na to, abyś odpowiedział poprawnie. W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie co?

– Lepiej, żebyś odgadł. Słuchaj. Kto jest sprytniejszy: mędrzec czy ten, który do mędrca po radę przychodzi?

– Co?

Żeby cię jasny piorun – pomyślał Dziad.

– Kto jest sprytniejszy?

– Czuję podstęp.

– Co roku przyjadę o tym samym czasie i zapytam. Ostatni raz zrobię to za cztery lata. Jeśli nie odgadniesz, biada ci. – Zawrócił konia. – Nie próbuj się chować. Znajdę cię wszędzie. – Spiał konia i ruszyli. Właściwie to rozplłynęli się w nocy, bo tętentu kopyt nie usłyszał.

Biada ci? Dlaczego od razu biada, co to za lichy?

Tak po prawdzie to nie wierzył w istnienie tych stworzeń. Gada to to niby po ludzku, a wygląda jak zwierz. Ludzie opowiadali, ale to jedno ludzie mówią? Wiary tym opowieściom nie dawał, a teraz sam nie wiedział, co o tym myśleć. Niby dobrze się wszystko zakończyło, ale cały żołądek (a jego żołądek był rozmiarów słusznych) miał ściśnięty, tak jak gąbka, kiedy wyżyma się z niej wodę. Coś to się wydarzy, coś złego ich nawiedzi, jak Bóg na niebie, bo nikt tak wielką grozą od dawna go nie przejął. Przeżegnał się i nacisnął klamkę. Gdy wszedł do ciemnej izby, w której migotała tylko jedna świeczka, spostrzegł, że ksiądz cuci żołnierza.

– Jak masz na imię? – zapytał duchowny nieprzytomnego – do kogo napisać?

– Mnie to się zdaje, że on chciałby pozostać bezimienny, niezauważony – odchrząknął Dziad.

– Podaj swoje imię! – nie odpuszczał Ambroży. Przykładał zimne okłady do głowy nieprzytomnego i co chwilę pytał.

– Może starą Jagnieszkę zawołam?

– Dobra myśl, dobra, zawołaj, Błażeju!

Kiedy Dziad wyszedł, nieprzytomny otworzył oczy. Miał je czerwone od gorączki. Czoło mokre od potu.

– Nie bój się. – Ambroży przyłożył mu do czoła kolejny kompres. – Jak masz na imię?

– Gustaw – wycharczał i runął na posłanie.

Dziad wyskoczył w ciemność i najszybciej jak potrafił, czyli ledwo, ledwo idąc, poczłapał do chałupy Jagnieszki.

Jeszcze nie spała, choć w oknach było ciemno. Nie zauważył, że siedziała na ławce pod ścianą. Tylko ona o tak późnej porze mogła nie spać.

– Widział ty – powiedziała, nim zastukał do drzwi – jaki miesiąc krwawy?

Dziad spojrzał na księżyc. Faktycznie nie wyglądał jak zwykle. I, co dziwniejsze, jeszcze przed chwilą go nie było, a teraz nagle jakby się chmury rozstały i mu na świat wyjść pozwoliły.

– Idzie ku nom paskudztwo – szepnęła, machając nogami.

– Niech będzie pochwalony. – Skłonił się. – Paskudztwo już przyszło. Wojna. To i nawet księżyc krwawi.

– Insze paskudztwo, insze. Takisik czort, co to z moru się rodzi. Idzie, idzie ku nom jak Anioł Śmierci, haw Egiptem paradował, co to ksiądz na mszy godali. Paskudztwo narowiste, które bata się nie boja.

– Nie straszcie! – zezłościł się Dziad. – Pomoc potrzebna, rannego mamy, u księdza zostawiony, poradzilibyście co?

Staruszka poderwała się żwawo. Drzwi skrzypnęły, weszła do chałupy i po chwili wyszła z zawiniątkiem.

– Jak trza, to trza. Chodźwa! Ale – obejrzała się na Błażeja i palcem wskazującym pogroziła – ino paczeć, jak wspomnita moje słowa, ino paczeć.

Wielkie mi prorocstwo – pomyślał Dziad – wszelkie zarazy przy wojnach się koca, niepotrzebne do tego żadne wróżenie z fusów. Skarciła go spojrzeniem, jakby usłyszała te myśli, ale nie odezwała się.

Zastukała do drzwi i energicznie weszła do izby. Ksiądz klęczał przy nieprzytomnym, który miał ściągnięte rysy i bladą twarz. Dziad od razu się zorientował, że coś się stało. Ambroży obejrzał się na wchodzących i ręką dał im znać, aby nie podchodzili.

– Zaraza – szepnął.

Staruszka przeżegnała się, a Dziad zmarszczył czoło.

– Ot, krakała i wykrakała – mruknął.

Jagnieszka, lekceważąc księdza, podreptała do chorego, jedno spojrzenie wystarczyło, aby wiedziała, co to za choroba.

– Tyfus – powiedziała do siebie – haw to nie ten czort – spojrzała na Dziada – o czym godałam. Pewnikiem to żołnierz?

– Hm – odchrząknął Dziad.

– Kiej wojak to psezyje.

Rozpakowała swoje zawiniątko. Zalała ranę rozcieńczonym moczem, którego woń nieprzyjemnie rozeszła się po izbie. Skropiła żywicą i obłożyła liściem z kapusty, po czym owinęła lnianym bandażem.

– Przynieśta wody!

Dziad posłusznie wyszedł na zewnątrz. Z wiaderkiem w prawej ręce podreptał tam, gdzie wieśniacy poili zwierzęta. Nim żurawiem zaczerpnął wody ze studni, kątem oka spostrzegł Józusia, który z otwartą gębą uwieszony przy końskiej uździe stał nieruchomo, jakby połknął kij. Niczym żona Lota zamieniona w posąg z soli. Koń niecierpliwie skrobał kopytem i strzygł uszami, z jego pyska ulatywała para. Pachniało mrozem. Dziad wyprostował się zaniepokojony i spojrzał w stronę, w którą gapił się chłopak. Zrobił to w momencie, kiedy za drzwiami chałupy Gabrysia zniknął dziewczęcy warkocz.

Co za lichy? Z trudem przełknął ślinę. To niemożliwe, przecież ona nie istnieje! Zafrasowany przelał wodę i pośpiesznie ruszył ku kościołowi. Słyszał szum rzeki. Gęsta mgła uniosła się nad szuwarami. Mrok pozwolił cieniom na swawolę. Kryły się wszędzie. Księżyc nie było, jakby nagle Bóg zamknął swoje oko, a świat stał się niczyj. Zasapany Dziad z trudem wdrapał się na wzgórze i z wysiłkiem wszedł do izby. Jego blada twarz nie uszła uwagi starej. Jednak spokojnie w milczeniu zmoczyła kawałek szarego lnu i zwilżyła usta Gustawowi. Ciągle był nieprzytomny. Po chwili położyła mu mokry kompres na czole. I dopiero wtedy spojrzała w twarz Błażejowi.

– Diobła żeś tamok uwidzioł? – zapytała.

Dziad złapał za chochlę, zanurzył ją w wiadrze i zachłannie wypił trzy potężne łyki.

– A żebyś wiedziała, że prawie tak – sapnął.

W momencie gdy Józus ruszył pędem do Dziada, księżyc wyłonił się zza chmury, ale każdego, kto go wtedy dostrzegł, mógł tylko przestraszyć, bo zamiast srebrnego krążka, pojawił się krążek krwawy.

Jagnieszka zdążyła tylko pomyśleć, że złe przylazło i dom sobie u nich wyrychtuje, gdy zasapany Józus wpadł do izby. Wszyscy troje, Dziad, ksiądz i Jagnieszka, zwrócili w jego stronę głowy. Oczy mu pały, a na twarzy miał wypieki. Dziad szybko się przeżegnał i przytknął dłoń do jego czoła. Pokręcił głową, odpowiadając na pytający wzrok Jagnieszki.

– Co się stało? – zapytał, choć dobrze wiedział. Posadził Józusia na pniaku.

Chłopak nie mógł złapać tchu. Czasem tak mu się działo. Nikt nie znał przyczyny. Kiedy się czymś przejął, to tracił oddech, a z jego piersi wypływały miauknięcia, jakby w niej miał uwięzionego kotka. W takich chwilach Józus mówił niewyraźnie, charczał, krztusił się, gestykulował i uderzał się drobnymi pięściami w swoje piersi.

– Spokojnie, oddychaj, powoli. Wdech i wydech, wdech i wydech – Dziad usiadł obok niego.

Jagnieszka z napięciem na twarzy przyglądała się chłopcu. Zmieniała okłady na czole Gustawa, obcierała mu szyję i dłonie, ale co chwilę spoglądała przez ramię na chłopaka. Czuła w kościach, że ten wieczór zmienił sporo we wsi. Jednak nie wystarczy przeczuć, aby to zrozumieć. W końcu usiadła zmęczona. Otarła pot ze swojego czoła, poprawiła chustkę na głowie i czekała.

– Jesceć tego brakowało. – Załamała ręce, jakby czytała w myślach Józusia.

Józusowi oddech się uspokoił, ksiądz podał mu wodę w kubku, ale odmówił.

– Wyduś w końcu – zniecierpliwiał się duchowny – może pomoc potrzebna, może gdzie pożar?

Józus zaprzeczył ruchem głowy. Nadal tylko bełkotał.

– Co mu jest? – zapytał Ambroży i z trudem przełknął ślinę. Liczył się z tym, że chłopiec nie dożyje dorosłości, i choć wszelkie złe wróżby do tej pory się nie sprawdziły, to miał świadomość, że koniec może nadejść w każdej chwili.

– Zdaje mnie się – zaczął Dziad niepewnie – że zobaczył we wsi tę rusalkę.

Chłopak przytaknął gorliwie.

– Jaką rusalkę, na Boga!? – Ksiądz złapał się za głowę i z wyrzutem spojrzał na krzyż.

Niczego, powiadam wam, niczego mu w tej wsi nie oszczędzono. A teraz jeszcze rusalka! Cóż za gleba jałowa na posługę mu przypadła. Cóż za trudne ludzkie typy do rozszyfrowania. Tutaj to w godzinie odmiana i niespodzianka. Bieda z Nędzą niczym krasawice po obejściach tańczą, a wielu nawet twierdzi, że je widzi w postaciach kobiet.

– Dziewcyne Gabrysie do roboty zgodzili. – Wzruszyła ramionami Jagnieszka. – Haw to ona musiała małego psiestraszyć. Oj choj, wielkie mi dziwy. – Pokręciła karcąco głową. – Gdzie ji do rusalki. Cego to ludzie nie wymyśli.

– Piękna? – zapytał Dziad.

– Dzie tam, dziewczka jak dziewczka.

– Widzieliście ją, Jagnieszko? – Ksiądz nieco ochłonął po swojej wewnętrznej bitwie z myślami.

– No pseciek, zem widzioła. Kawoł baby, gęba w plamach, warkoc jak należy. Jo Gabrysiom o ni powiedzioła.

Ambroży złapał Dziada za ramię i wyprowadził na zewnątrz. Czarno już było i bardzo cicho. Nawet psy nie hałasowały łańcuchami. Jakby wraz z nocą ktoś wygłuszył otoczenie.

– Co wyście wymyślili z tą rusalką? Gadaj mi tu zaraz jak na spowiedzi! – powiedział półgłosem.

Dziad westchnął.

– A to się wie, kiedy kto co ujrzy? – powiedział.

– Nie kręć, Błażeju, bo ja twoje kręcenia znam – zamachał mu palcem wskazującym przed nosem – i zaraz poznam, czyś szczerzy czy nie. Co chłopaka opętało? Wszak on gotów dostać jakiegoś paraliżu z tego zauroczenia!

Dziad znowu westchnął, tyle że dłużej i jakby z większych wewnętrznych głębin powietrze wypuścił.

– Była to noc pogodna, lipcowa, powietrze przyjemne. Tuż przed wybuchem wojny. Maszerowaliśmy sobie spokojnie. Od Kiwy Bobika my wracali...

– To ci dopiero dobrego kompana żeście sobie znaleźli! – sarknął Ambroży.

– Szliśmy nieśpiesznie wzdłuż rzeki, która migotała w naszej lewej stronie. Księżyc ogromny odbijał się w jej falach, szuwały szumiały sennie, a świerszcze grały po swojemu.

– Po, co ty mnie męczysz tym malowniczym wstępem?

– Powietrze było mroźne, co jakiś czas wiał wiatr. Czasem odzywały się wrony, ale rzadko. Księżyc już wiele mniejszy ciągle wyglądał jak otwarta krwawa rana. – Ostro spojrzał na Ambrożego, jakby dopiero teraz dotarło do niego pytanie księdza. – Żeby ksiądz urok całego zdarzenia mógł pojąć. – Wziął się pod boki, wyglądał na obrażonego. – Albo całość, albo wcale – nachmurzył się.

– A co mi tam, mów – machnął ręką duchowny i westchnął z rezygnacją.

– Pachniało rosą i wilgocią, a gdzieś tam z rozgrzanych traw buchał ciepły odór, niczym oddech zziąjanego psa...

– Na litość Boską! – Ambroży ukrył twarz w dłoniach.

– Raptem... stanęliśmy jak wryci!

Ksiądz błyskawicznie opuścił dłonie i bystro z ciekawością spojrzał na Dziada.

– Trzciny szumiały jak wcześniej, księżyc ciągle odbijał się w wodzie, ale my staliśmy jak zasolona żona Lota. Staliśmy i gapiliśmy się na zjawisko niezemskie. Nim oprzytomniałem i zakryłem Józusiowi oczy, to było za późno. Już został zauroczony. Dziewica o przepysznych kształtach i grubym warkoczem kąpała się w rzece. Księżyc bladym światłem ślizgał się po jej mokrej głowie i białych ramionach, a niecierpliwe fale niosły jego światło na swoich drobnych grzbietach. Nawet moje stwardniałe serce zabiło mocniej.

– Błażeju!

– Od tego momentu Józus zaczął się wymykać. Wędrował nocami wzdłuż rzeki albo i gdzie indziej jeszcze. Szukał jej. Każdej nocy, niczym dziecko we mgle, błądził i po omacku znajdował miejsca, gdzie być może wcześniej się zjawiała. To od tamtego momentu zaczął marnieć. Od momentu, kiedyśmy wrócili na księdza wikt, ale to nie o wikt chodziło.

– Ja myślę, że nie o wikt. – Ksiądz chuchnął w zgrabiałe dłonie i podskoczył kilka razy.

– Jeżeli to ona, ta u Gabrysiów, to mnie się zdaje, drogi księże, że będą kłopoty.

– E! – Ambroży z powrotem wepchnął Dziada do izby – to jeden się zakochał?

– Ale Józus jest inny niż wszyscy – szepnął księdzu na ucho.

– E tam! Każdemu ojcu wydaje się, że jego syn jest różny od innych – odrzekł z lekceważeniem i zatrzasnął za sobą drzwi.

Obydwaj uklękli przy chorym i zaczęli odmawiać różaniec.

– Nie turbujta się, pszezyje – powiedziała z pewnością w głosie Jagnieszka.

Nie wiedzieli, że gdy wyszli, Jagnieszka Gustawa zaklęła. Gdy ich nie było, ona wzięła jego los w swoje ręce, zrobiła to mimo obecności Józusia. Głupia! Czasem sobie pomagała czarami, zawsze w dobrej wierze, że niby dla zdrowia człowieka. Czasem, gdy jej „leki” nie pomagały, gdy mogłaby na niepowodzeniu ucierpieć jej reputacja, wtedy brała się za czary. Czasem więcej myślała o sobie niż o chorym. To „czasem” zdarzyło się dzisiaj. Wyciągnęła z zawiniątka kasztany i igły. Trzy kasztany połączyła z sobą. Głowa, narządy, nogi.

– Teros tyś je w mojej mocy, teros życie twe w moich rękach i mojem stanowieniu. Nic sam, wśińko jo o tobie. Ja tobie mówię, żyj! – mamrotała pod nosem. Równocześnie wodziła po ciele Gustawa swoją laleczką, jakby chciała jego oddech zakląć w tych kasztanach. Jakby chciała, aby przesiąknęły jego wonią, jak łachy dymem ogniska. W swoim zapamiętaniu nie spostrzegła, że Józus łyka każde jej słowo niczym ryba powietrze, że nie spuszcza oczu z jej gestów. Głupia!

Znachorka tak nie postępuje. Może tylko Cyganka zaklęciami się nie brzydzi, ale znachorka brzydzić się powinna. Jednak Jagnieszka nie była zwykłą wiejską staruchą. Od razu to można było wyczuć, kiedy tylko spojrzała przybyszowi w oczy. Niezłościwa, chętna do pomocy, ale czasem nieodgadniona. Jak teraz... jakby brała się za bary z wojną, ze śmiercią, z tym, co Gustaw ze sobą przyniósł. Nie tyle jego chroniła, co tubylców, pragnęła w nim zamknąć jego demony, nie chciała, aby rozeszły się po okolicy i nocami ludzi straszyły.

Nie pozwoli już więcej na powstanie kolejnego chochoła, tak postanowiła po przygarnięciu Riczki. Bo cóż się tworzy w ludzkim umyśle innego niż zatechłe chochoły, wytwory rozpacz i udręki? Jednego przepuściła, bo nie chciała dziewczyny więzić, ale kolejnemu przepuścić nie zamierzała.

Do izby wpadł zimny wiatr, mimo że drzwi i okna były zamknięte. Chlusnął jej w twarz, niczym jęzorem lodu. Coś zasyczało. Józus wskoczył pod stół. Jagnieszka usłyszała słowa, które znała doskonale: „Za późno! Widma już ruszyły!”.

„Nic się nie dzieje, dopóki woła ludzka na to nie pozwoli!” – usłyszała ponownie.

Zadarła głowę do góry i przebiegła oczami po suficie. Równocześnie przycisnęła do piersi laleczkę z kasztanów.

„Nic się nie dzieje, dopóki się nie odda woli sercu!” – mówił ktoś nieobecny, bo w izbie nie było nikogo innego poza Józusiem, starą i Gustawem.

Jagnieszka kręciła się w kółko z nadzieją, że dostrzeże tego nieobecnego. Na próżno.

„Chciałabyś jeszcze życia ugryźć, a tu zębów brak. Ręką nie przyciągniesz tego, co samo idzie, choć wolno idzie, lecz przyjść musi. Nie uciekniesz też przed tym, skoro już przybędzie, nawet jeśli tego nie pokochasz”.

Zrobiło się cicho. Zimny prąd powietrza ustał. Jagnieszka opadła na posłanie koło Gustawa. Kasztany w jej dłoniach zrobiły się zielone. Miała rosę na czole i spocone palce. Rozejrzała się.

– Józus? – zawołała przestraszona.

Spostrzegła go pod stołem. Cały dygotał. Poderwała się, wyciągnęła go na środek izby i przytuliła. Miała wyrzuty sumienia.

– Nic to, dziecko drogie, nic to, tylko stare kumy, dawne, z pierwoświecia. Zgniewane, rozszalałe kiej te carne wrony nase, kiej im gniazda kto porusy.

Chłopiec z wolna przychodził do siebie. Patrzył na nią wielkimi, niebieskimi oczami, pod którymi na policzkach jeszcze nie obeschły łzy.

– No, jus! – Klepnęła go w plecy i podniosła się z ziemi. – Nie ma nad cem głowy łamać. Wsyćko je od Boga i dopre i złe, jeno cza mieć rozum, aby rozeznać, które je które. Kiej zmężniejes, bedzies wiedzioł. – Uśmiechnęła się, choć serce w niej waliło, jakby ktoś uruchomił w niej wewnętrzny dzwon.

Zachowała się lekkomyślnie, a za taką lekkomyślność przychodzą srogie terminy. Uznała, że jest na tyle silna, że podoła, a tutaj... niestety, wszak nie wstanie z grobu dzień wczorajszy. Znała je doskonale, Cygankę Jerni i Żydówkę Rachelę, był wtedy z nimi jeszcze stary Hucuł. Wypuścili widma na świat, wypuścili dla sprawiedliwości, jak twierdzili. Jagnieszka odmówiła wspólnego zaklinania, za to jej zagrozili, że ją skrzywdzą. Śmiała się. Jej moc odebrać? Ale teraz już wiedziała, że jej dokuczają. Musiała pomyśleć, jak Gustawa ustrzec, bo go dotknęła swoimi zaklęciami, a raz dotknięty nie jest już bezpieczny. Głupia! Taka stara, a głupia! Jakże lekkomyślnie postąpiła. Jakże z niej próżna baba, taka stara, a taka próżna! Wyrzucała sobie w myślach.

Na to weszli ksiądz i Dziad. Nie zwrócili uwagi na pomieszanie Józusia, choć już wyglądał lepiej, ale przecież nie zostawili go w wiele lepszym stanie.

– Przeżyje – powtórzyła zbielałymi ustami.

– A jak nie? – szepnął Dziad. Klęknął przy łożu chorego obok księdza.

– Taka wola nieba – wszedł mu w słowo ksiądz – Bóg życiem rządzi.

– Więcy zmartwienia z tem, coby inne nie zachorowały – westchnęła staruszka. Nie pokazała po sobie, że słowa księdza zraniły ją do żywego.

Nie zwrócili uwagi na Józusia, który nie ukląkł do modlitwy, tylko jakoby zapadł się w siebie. Oczy miał niewidzące, choć przytomne. Uśmiechał się do swoich myśli jak madonny na obrazach świętych. Łagodnie, ale odlegle, nieludzko.

– Wylazło złe i znowu sobie kajsik dom zładuje – powiedziała tym razem na głos Jagnieszka, choć niby do siebie. Ze skruczą spojrzała na krzyżyk wiszący nad drzwiami.

– Co ma wylazić! – zachnął się Dziad. – Nikt nie wołał, to nie przyjdzie.

– Głupiś, Błazeju, zło siedzi ciągle obok, jego nie trzeba wołać – odparował Ambroży.

Jagnieszce zrobiło się słabo.

BRZYDKI KRAJ

Wieś leżała w Zachodniej Galicji, w widłach dwóch potężnych rzek: Wisły i Sanu. Powstała na lewym brzegu rzeki zwanej Miłą, której źródło biło w środku puszczy. Jej koryto miało rdzawy kolor, dlatego woda często przypominała swoją barwą kasztany. Wieś królewska, schowana w gęstwinach, zbudowana w czasach pradawnych – stała się wspaniałą kryjówką dla przemytników i dezertarów, dla złodziei i domokrążców, dla pachciarzy, kupców zbożowych, arendarzy, faktorów, Żydów, bankrutów czy wykolejeńców.

Mimo świetnych map wojsko c.k. ani razu nie zapędziło się do Bławatnego przez samych chłopów zwanego wsią zbójceją. Nie prowadził bowiem do niej żaden bity trakt, tylko leśne ścieżki błyskawicznie zarastające ostręgą i samosiejkami. Trzeba było nie lada pamięci i dobrej głowy, żeby wiedzieć, która ścieżka jest bezpieczna w danej porze roku. Wiele z nich bowiem stawało się na wiosnę i późną jesienią rwącymi potokami lub bagnistymi rozlewiskami. Łatwo było stracić głowę bez pradawnej wiedzy, którą tutaj lud osiadły pielęgnował na równi z wiarą chrześcijańską.

Tubylcy, z pozoru załęcznieni i nieśmiali, w głębi swoich serc byli twardzi, surowi i poważni. Z pozoru delikatni i radośni, lubiący tańce i śpiewy – wewnątrz skupieni i ostrożni wobec innych. Najważniejsze w ich kwadratowych twarzach były oczy. Rysy mieli toporne, jakby niezręczny rzeźbiarz wyciął je niedbale tępą siekierą. Lica ogorzałe, ciemne, chropowate, pocięte zmarszczkami nawet u dzieci. Czupryny nierówne, bujne, gęste, zaniedbane. Jedyne te oczy. Niezwykle niczym chabry – ciemniejące gwałtownie jak i one, gdy nadciągała burza. Po tych oczach poznać ich było – tych rodowitych. Tych, których korzenie były wychodowane na tym surowym ugorze i jego podziemnymi sokami napite. Ogorzałe policzki, chabrowe oczy i płowe włosy. Mieszkańcy innych, podmiejskich wsi nazywali ich niebieskimi ludźmi, bo kolor ich oczu taką roztaczał poświatę na całe ciało. Piękne oczy, ale i przerażające, jakby we wszystkich tętniło jedno źródło, źródło potężne i srogie. Boskie źródło bez cienia ułomności, ale i gorzkie, bo zaprawione człowiekiem. Jego łzami i jego przekleństwem.

Sami o sobie mówili, że są stąd. U siebie. Jak jagody i grzyby, jak topole, modrzewie i brzozy, sosny i świerki, jak gniazda wron i jaskółek, ślady żbików, saren czy zajęcy. Swoi, czyli ci z gromady. Nie każdy był swój, ale każdy mógł się przytulić do ich życia, jednak biada temu, który okazałby się lisem w kurniku. Oj, biada zdrajcy! Innych okradasz, nic nam do tego – mawiali – ale nas okradać się nie waży. Jeśli się odważysz, najlepiej dla siebie, abyś zmienił się w żabę i wskoczył w bagno, bo jeśli nie, to nikt i nic cię przed nami nie ocali.

Językiem mówili różnym, wymieszany był jak pod Wieżą Babel, choć w przeciwieństwie do ludzi spod wieży biblijnej, mimo różnic, rozumieli się doskonale. Wiele narodowości tutaj przybywało i każdy mówił na swój sposób, ale ludzkie serce potrafiło pojąć, czego drugi potrzebował. Umieci też za wiele nie pytać. Rozumieli, że nieraz serce dźwiga w sobie ciężary piekielne, że aż strach o nich mówić głośno. Dlatego najbezpieczniej było o nich milczeć.

Bławatne – wieś na surowym korzeniu stworzona, wieś królewska. Wspaniała. Ukryta w puszczy, a puszcze za ojca, a rzekę za matkę mająca. Wieś złodziejska, wieś banitów i ludzi wykluczonych. Miejsce na równi straszne, co wspaniałe. Niczym burza. Jak granatowa chmura nadciągająca od południa. Przerażająca i piękna.

Wieś stara, bo pamiętająca pierwszych mieszkańców, którzy rekrutowali się z łowczych królewskich. To oni zasilali stół władcy w mięso. To od ich zręczności zależały udane polowania. To po nich w tubylcach pozostała smykałka łowiecka i zamiłowanie do broni. Każdy gospodarz w swojej chałupie miał schowaną lepszą lub gorszą fuzję. Nie było pośród nich takiego, który kilka razy do roku nie zapolowałby choćby na zająca.

Lud tubylczy to było stare dziecię puszczańskie. Tylko jemu serce się radowało, gdy spoglądał na to, w co natura się stroiła. Niejeden miastowy wzdrygnąłby się na widok tego krajobrazu.

Każdy, kto się zapędził na chwilę do Bławatnego, jak Dziad czy Strojeń, albo na zawsze, jak Gustaw, miał to samo przykre wrażenie. Zagrody wyglądały smutno i biednie. Liche chaty ustawione na lotnym piasku, ogrodzone płotkami z żerdzi wyzierały spomiędzy wysokiej, suchej trawy. Zapatrzone oknami w gościniec blakły na słońcu. Rozsychały się, jęcząc w rytm grających świerszczy.

Za wsią jak okiem sięgnąć – w prawo czy w lewo – ten sam piasek, a za piaskiem las. I tak cały czas ten sam widok, aż do Sanu i za San, i za „suchą granicę” w ordynackie lasy Zamojskich, i do Leżajska, i za Leżajsk – aż do wołyńskich pagórków. Za to pośród tych lasów, jakby w nagrodę, przepyszne łągi, wielkie łąki liczące czasem nawet kilkaset morgów. Obrosnięte borem ze wszystkich stron przypominały najpiękniejszy, iście królewski park sadzony przez ogrodnika. Tyle że takiego parku żaden król nie miał, bo nie umiałby go utrzymać. A ten, kto ten park boski widział choć raz jesiennym wieczorem, gdy z mokrych łąk podnosiły się mgły, kto go widział latem, kiedy te mgły świt złociły, i słyszał śpiew całego lasu, gdy wszystkie ptaki chórem, jednocześnie witały wstający dzień – ten nigdy nie powiedziałby o tym miejscu bez miłości i zachwytu.

